



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Eugeniusz Wędzicha

Moje okupacyjne dzieciństwo przeżyłem w Rybnej...

Ucieczka

Moje okupacyjne dzieciństwo przeżyłem w Rybnej, dużej, podkrakowskiej wsi z kilkusetletnią, bogatą historią. Gdy Niemcy najechali nasz kraj, miałem 10 lat, ale wyglądałem na mniej z powodu niedożywienia i słabego zdrowia. Rodzice nie mogli zapewnić mi odpowiednich warunków – mieli zaledwie morgę ziemi w kilku miejscach i niewykończony dom. Na jego budowę zaciągnęli dwie pożyczki bankowe tuż przed wielkim światowym kryzysem gospodarczym. Zaraz potem pieniądze straciły na wartości i nie mogli dokończyć budowy, jedynie kuchnię urządzili jako tako, tu gotowaliśmy posiłki i mieszkaliśmy przez kilkanaście lat.

Nie ukończyłem jeszcze roku, kiedy mama oddała mnie na wychowanie do rodziców ojca, a sama wyjechała do Krakowa, gdzie była służącą przy rodzinach. Tata również pracował w tym mieście jako niewykwalifikowany robotnik, lecz częściej szukał tam zajęcia, niż je miał. Babcia z dziadkiem prawie się mną nie zajmowali. Wychowywała mnie faktycznie prababcia, ale była już w podeszłym wieku i właściwie to ona też potrzebowała opieki.

We wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku mieszkałem już od trzech lat u mamy, która powróciła na stałe z Krakowa. Ojciec nadal pracował poza domem i przyjeżdżał do nas tylko na niedziele i święta. Jak co roku o tej porze skończyły się wakacje i wybierałem się do szkoły, gdy dotarła do nas wiadomość o ataku Niemców na nasz kraj. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy nowych wieści, tym razem o wkroczeniu naszego wojska do Niemiec. Niestety, wkrótce rozeszła się we wsi pogłoska, że to nieprzyjaciel zajmował nasze miasta i wioski. Na to nie byliśmy przygotowani, niektórzy nadal zapowiadali rychły odwrót Niemców, gdy tylko Anglicy wylądują w Polsce. Bardziej sceptyczni jednak szykowali się do ucieczki i namówili do niej także moich rodziców i ojca mamy, który załadował na wóz pościel, ubrania i żywność. Ułożył też na nim trochę naszych rzeczy, niezbędnych w podróży.

Siostra mamy, mieszkająca z rodziną w pobliżu, również postanowiła uciekać i zaniósła na wóz brata męża, Piotra, koce i kosz z produktami żywnościowymi. On sam zapakował na niego Biblię, książeczki do nabożeństwa, żywoty świętych, drewniany krzyż, niewiele pościeli i żywności. Był człowiekiem bardzo pobożnym, codziennie był w kościele i pędził do niego także swoje liczne dzieci. Dlatego nazywaliśmy go „Świętym Piotrem”. Ciotka radziła mu, aby zabrał mniej tej literatury, a więcej czegoś do jedzenia dla dzieci. On machnął jednak ręką i odrzekł, że nie samym chlebem człowiek żyje, ale

przede wszystkim słowem bożym. Trzy dni później, gdy już wracaliśmy do domu i zatrzymali na posiłek, przyszedł do niej po chleb, bo tę niewielką ilość swojego, jaką zabrał, już zjedli. Wówczas ciotka przypomniała sobie rozmowę sprzed wyjazdu i odpowiedziała z przekąsem: „Po co wam, Piotrze, chleb? Czyżbyście zapomnieli, że człowiek żyje przede wszystkim słowem bożym? Jeśli dzieci są głodne, to zamiast posiłku powinniście im przeczytać którąś z waszych świętych ksiąg”. Powiedziawszy to wyjęła jednak z koszyka ostatni bochenek chleba, przekroiła go na dwie równe części i wręczyła mu jedną, mówiąc że robi to ze względu na dzieci, bo jemu samemu nic by nie dała.

Gdy już wszyscy, którzy się zdecydowali opuścić wieś, byli gotowi, ruszyliśmy na wschód żegnani ze łzami w oczach przez tych, którzy postanowili u siebie czekać na Anglików. Mama jechała na wozie z dziadkiem, jego synową i dwojgiem jej najmłodszych dzieci. Ja szedłem przy wozie z ojcem, który także uciekał z nami, bo jako niezdolny do służby wojskowej z powodu żyłaków na nogach, nie uczestniczył w kampanii wrześniowej. Szedł z nami również syn dziadka ze swym najstarszym chłopakiem w moim wieku. Za wozami kroczyły krowy, każda rodzina zabrała po jednej. Inne zwierzęta powierzyła opiece pozostałych we wsi sąsiadów. Krowy opóźniały ucieczkę. My, piechurzy też nie mogliśmy się ścigać z końmi, toteż pierwszego dnia dojechaliśmy przez zmrok zaledwie za Morawicę oddaloną o około piętnaście kilometrów od Rybnej. Tam przenocowaliśmy na dworskich łąkach. Wczesnym rankiem następnego dnia ruszyliśmy dalej na północny wschód, by nie zbliżyć się zbyt do Krakowa, który mógł być bombardowany. Posuwaliśmy się do przodu jeszcze wolniej, bo zaczęli nas wyprzedzać nasi ułani. Musieliśmy im ustępować drogi, bardzo się spieszyli. Dziwiło nas, że i oni podążali w naszym kierunku. Pytaliśmy ich o przyczynę, lecz nie byli zbyt rozmowni i odpowiedzieli zdawkowo, że taki dostali rozkaz. Sprawa wyjaśniła się dopiero po południu, gdy zobaczyliśmy zbliżających się na motorach żołnierzy, których mundury różniły się od noszonych przez naszych. Kiedy dziadek upewnił się, że to nie nasi, od razu poweselał, że nareszcie doczekaliśmy się Anglików. Gdy jednak tamci zrównali się z nami i zwolnili tempo, bo droga była za wąska na swobodne wyprzedzanie furmanek, zagadnęła ich, co to za wojsko. Wówczas jeden, którego naramienniki wyróżniały spośród innych, zatrzymał motocykl i odpowiedział śląską gwarą, że niemieckie, po czym zapytał, przed kim uciekamy. Zupełnie zaskoczony dziadek jąkał się przez dłuższą chwilę, w końcu wykrztusił z siebie, że przed nimi. – Dlaczego? – zdziwił się tamten. Dziadek znów nie wiedział, co odpowiedzieć i po namyśle postanowił zwalić winę na nasz rząd, mówiąc że to on nam kazał. Niemiec rzucił jakąś obelgę pod adresem polskich władz i polecił wracać do domu

Tak zakończyła się nasza ucieczka przed Niemcami.

Pierwsze miesiące pod niemiecką okupacją

Pierwszym wydarzeniem, jakie miało miejsce podczas naszej nieobecności we wsi, było samobójstwo nieznanego nam sierżanta Wojska Polskiego. Powiesił się na gałęzi wikliny rosnącej wzdłuż podmokłej, polnej drogi, niedaleko od zabudowań. Podobno nie mógł się pogodzić z klęską naszej armii. Tak przynajmniej mówił nam mieszkaniec, który rozmawiał z nim tuż przed jego tragiczną śmiercią. Mężczyźni we wsi nie byli pewni, czy ksiądz zgodziłby się pochować wisielca na cmentarzu i pochowali go pod tym krzakiem, umieszczając na świeżo usypanej mogile wiklinowy krzyż. Przez kilka lat przyciągał uwagę przechodniów, przypominając im o wrześniowej tragedii, potem uległ zniszczeniu i nikt go już nie odbudował.

W tych pierwszych miesiącach okupacji – jak na ironię – po raz pierwszy poprawiła się trochę mojej rodzinie sytuacja materialna. Wprawdzie Niemcy nie zwiększyli miejsc dobrowolnej pracy, ale spowodowali głęboką inflację. Mocna do niedawna złotówka ministra Grabskiego, tak trudna do zdobycia przez biedaków, z dnia na dzień traciła na wartości i wkrótce wystarczyło sprzedać kure, aby spłacić resztę pożyczki.

Moi rodzice uprawiali własne skrawki ziemi i pomagali rodzicom ojca, którzy mieli jej trochę więcej i potrzebowali pomocy z uwagi na podeszły wiek. Ale zarabiane przez nich pieniądze nie starczały na utrzymanie domu, toteż w wieku dwunastu lat przerwałem naukę w szkole powszechnej i wraz z miejscowymi kobietami i kilkoma moimi rówieśnikami przemyciałem nabiał do Rzeszy, w zamian za tekstylia, które następnie sprzedawałem za gotówkę w mojej i sąsiednich wioskach. Nie musieliśmy już więcej głodować, a nawet kupiliśmy jałówkę i po roku mieliśmy po raz pierwszy własne mleko. Pomimo że do granicy było tylko około sześciu kilometrów, nasze wyprawy były bardzo uciążliwe, zwłaszcza zimą i w porze deszczowej. Musieliśmy dźwigać torby wyładowane jajkami i serami. Podczas roztopów Rudna wylewała i kosztowało nas wiele trudu, by przedostać się na drugą stronę. Nasza marszruta prowadziła przez pola, a potem przez las i często bywała pokryta grubą warstwą śniegu, w którym brnęliśmy po kolana. Najgorsze były przejścia przez samą granicę, które były nie tylko uciążliwe, ale i niebezpieczne, ponieważ dniem i nocą pilnowali ich uzbrojeni policjanci celni. Nazywaliśmy ich „celnikami”. Ich patrole były nastawione głównie na zatrzymywanie przemytników i konfiskowanie im

towaru. Dorosłych niekiedy kierowali do pobliskiego Chrzanowa, gdzie ich skazywano na więzienie, a kilka kobiet nawet wysłano do obozu pracy. Małoletnich przemytników, a często także dorosłe kobiety puszczali wolno po zabraniu im towaru. Bywało, że przekraczaliśmy granicę nocą, bo wtedy było mniejsze niebezpieczeństwo spotkania „celników”. Mnie zatrzymali trzykrotnie. Dwa razy zupełnie przypadkowo, a raz nasłaa na mnie i mojego kuzyna dwóch „celników” kobieta z przysiółka Potok, gdzie zawsze wymienialiśmy żywność u tamtejszych pośredniczek, które z kolei dostarczały ją do Chrzanowa w zamian za tekstylia. Owa donosicielka pracowała u Niemców w urzędzie celnym, w Porębie-Żegotach. Jednego dnia umówiła się z nami na określony dzień pod pozorem wymiany towarowej, a kiedy owego dnia dochodziliśmy do jej domu, czekało już na nas za płotem dwóch jej pracodawców z wilczurem. Na szczęście nie zaufaliśmy jej w pełni i jeszcze w lesie oddaliśmy walizkę z nabiałem trzeciemu kuzynowi, który poszedł z nią i ze swoją torbą do naszej dawnej handlarki, a my zatrzymaliśmy przy sobie tylko karton papierosów, który kuzyn wyrzucił do zarośli. Niestety pies go odnalazł a ponieważ kuzyn nie chciał się do niczego przyznać, choć było oczywiste, że mógł należeć tylko do niego lub do mnie, Niemcy rozebrali nas do bielizny, bili smyczą i skórzanym pasem. Kuzyna bił jeden a mnie drugi, ale jego niezbyt mocno, mnie ten drugi sprawił tęgie lanie. A przecież papierosy nie były moje, więc ja mówiłem prawdę. Kłamał zaś kuzyn.

Czas aresztowań i represji

Najważniejszym dla mnie przeżyciem w tym czasie był mimowolny udział w części tragicznych następstw akcji przeprowadzonej już w naszej wiosce. Było to 1 lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Był piękny, słoneczny ranek. Wyszedłem przed dom (położony tuż przy głównej drodze) i zobaczyłem dwa samochody opancerzone, jadące w kierunku centrum wsi, czyli na dół – jak mówiliśmy, ponieważ było położone w nizinie, w przeciwieństwie do naszej „górzystej” części, zwanej Nowym Światem. W chwilę później przejechały jeszcze dwa samochody, pełne niemieckich żołnierzy. Pobiegłem z powrotem do mieszkania i powiedziałem rodzicom, co widziałem. Nie wróżyło to nic dobrego. Wyszlismy na zewnątrz i wtedy sąsiad powracający z „dołu” powiedział nam, że w nocy partyzanci napadli na mleczarnię, zniszczyli urządzenia, dokumenty i wódkę przeznaczoną dla dostawców mleka. Podpalili też magazyn wewnątrz budynku. Miejscowi strażacy rozpoczęli gaszenie ognia wzniesionego przez partyzantów niezwłocznie po ich odejściu.

Jakkolwiek już wiedziałem, dokąd pojechały samochody, to jednak jakaś niezaspokojona do końca ciekawość spowodowała, że wymknąłem się ukradkiem z mieszkania i poszedłem w tamtym kierunku. Po drodze spotkałem kolegę nieco starszego ode mnie i poszliśmy dalej razem. Mieliśmy nadzieję spotkać kogoś powracającego stamtąd, kto powiedziałby nam, co się tam działo. Niestety, nikt nie szedł ani w jedną, ani w drugą stronę. Postanowiliśmy zawrócić. Ale zanim zdążyliśmy to uczynić, z pobliskiego domu wyszło trzech żołnierzy z jego mieszkańcami. Dostrzegli nas, popatrzyli podejrzliwie i zabrali do większej grupy mężczyzn i kobiet, którą ich kamraci doprowadzili na drogę, po czym poprowadzili nas wszystkich dalej. Co kilkadziesiąt metrów nasza grupa powiększała się o dalszych mieszkańców. Przybywało też eskortujących nas konwojentów. Minęliśmy most na niewielkiej o tej porze roku Rybniance, potem szkołę i doszli do mleczarni. Pod jej odrapanymi ścianami kłębił się tłum ludzi. Pilnowali ich żołnierze uzbrojeni w ręczne i maszynowe karabiny. W pewnym momencie ustawili nas w szeregi i zabronili opuszczania zajętych miejsc.

Naprzeciwko szeregów, po przeciwnej stronie szosy, stały dwa cekaemy. Kręciło się przy nich dwóch Niemców. Wszystko to wyglądało groźnie. Konwojenci nadal przyprowadzali wystraszonych ludzi. Wśród zgromadzonych osób rozpoznawałem znajomych, ale nie widziałem nikogo ani z Nowego Świata, ani z przysiółków (poza moim kolegą). Wszyscy stali w milczeniu z kamiennymi wyrazami twarzy, za którymi skrywał się strach, choć starali się go nie okazywać. Tylko jedna kobieta nie wytrzymała, gdy stawiano pod ścianę córkę i zaczęła prosić oficera o litość. Ale ten pozostawał nieczuły. Odepchnął ją brutalnie, krzycząc głośno po niemiecku. Jego reakcja przekonała nas, że nie pomogą nam ani prośby, ani płacz. Pomyślałem, że mogę już nie wrócić do domu. „Po co ja z niego wychodziłem” – myślałem z goryczą. Tuż przede mną stał wartownik. Inni przechadzali się przed szeregami tam i z powrotem. Podkute buty głośno dzwoniły o kamienną nawierzchnię gościńca. „Co się z nami stanie? – zadawałem sobie pytanie z niepokojem. – Kobiet i dzieci chyba nie rozstrzelają” – pocieszałem się w myśli, bo uważałem się przecież jeszcze za dziecko. Zresztą nikogo tak młodego wokół siebie nie widziałem.

Przypatrywałem się strumykowi płynącemu leniwie po drugiej stronie drogi. Tuż nad nim stała pochylona od starości, drewniana stodoła. Nieco wyżej, na zielonej skarpie, rosły drzewa owocowe, sięgające aż szczytu skarpy. Ciągnęła się przez niego zielona wstęga murawy, okalająca centrum wsi od wschodu. Patrzyłem z utęsknieniem na murawę i myślałem, że wystarczyłoby się znaleźć za nią, by odzyskać wolność. Tam bowiem byłbym już niewidoczny dla Niemców. Niestety, ani ja, ani nikt z trzy-

manych pod lufami nieszczęśliwych nie mógł osiągnąć owego wzgórza wolności, mimo że było tak blisko.

Rozmyślając o wolności i przeżywając boleśnie jej utratę, nadal nie odrywałem oczu od zielonej murawy. W pewnym momencie dostrzegłem na niej kilkuletniego chłopca. Przez chwilę szedł jej szczytem, potem skręcił w prawo i zaczął schodzić w dół, ku strumykowi. Najwidoczniej nie widział ludzi pod mleczarnią i dostrzegł nas dopiero po zbliżeniu się do wody, gdyż przystanął wtedy nagle i przypatrywał nam się z zaciekawieniem. Moi współtowarzysze z szeregu też musieli go obserwować, bo gdy on tak patrzył na nas, ktoś powiedział głośno z niepokojem w głosie: Po co ten dzieciak tutaj przyszedł? – Ja go już tu kiedyś widziałem z innymi dziećmi – zauważył jego sąsiad. – Może i dziś spodziewał się ich spotkać.

Tymczasem malca zobaczył także Niemiec, podszedł do strumyka i ruchem ręki dał mu znak, by przeszedł na drugą stronę rzeczki. Chłopiec zapewne dopiero teraz uświadomił sobie niebezpieczeństwo, gdyż odwrócił się raptownie i pobiegł ku murawie. Niemiec krzyknął za nim, ale to jeszcze bardziej przstraszyło małego, który zwiększył tempo ucieczki. Wtedy tamten zdjął karabin z ramienia i wycelował w uciekającego. W szeregach zapanowała grobowa cisza. Pomyślałem, że widocznie chce go nastraszyć, choć chłopiec się nie oglądał, więc nie widział wymierzonej w siebie broni. Zaledwie zdążyłem o tym pomyśleć, usłyszałem odgłos strzału i niemal jednocześnie krzyk upadającego chłopczyka. Kilka kobiet głośno szlochało, a jedna krzyknęła: Co pan zrobił! Przecież to jeszcze dziecko! Dwóch Niemców natychmiast doskoczyło do niej i szturchającami kolb zamknęło jej usta.

Mały przestał krzyczeć i leżał nieruchomo na trawie z szeroko rozłożonymi rękami. Nasi nadzorca spacerowali obojętnie, jakby nic się nie stało. Upłynęło znów ze dwadzieścia minut. Konwojenci przyprowadzili księdza i kilka kobiet, które wyciągnęli z kościoła, gdzie się ukryły. Oficer polecił im dołączyć do najbliższego szeregu, po czym wyszedł na środek placu, przywołał do siebie kilku podwładnych i wydał im jakieś rozkazy. Tamci zaszalutowali, podbiegli do szeregów i zaczęli je wyrównywać, wrzeszcząc na ludzi i popychając ich kolbami. Potem oficer zaczął przemawiać. Mówił po niemiecku, zatrzymując się po każdym zdaniu, które następnie tłumaczył na polski stojący obok cywil. Powiedział o napadzie „bandytów” na mleczarnię i wezwał nas do ich ujawnienia. W zamian obiecywał wolność dla każdego, kto ich wyda. Jednocześnie zagroził, że jeśli w ciągu dziesięciu minut nikt tego nie uczyni, wówczas co dziesiąta osoba z szeregu i wszyscy zakładnicy, to jest mężczyźni wyznaczeni przez softysa do pilnowania w tamtym miesiącu bezpieczeństwa wsi, będą rozstrzelani. Wysłuchaliśmy przemówienia w milczeniu. Po słowie o rozstrzelaniu nikt się nawet nie poruszył. Na pewno wszystkim nam trudno było pogodzić się z myślą, że część z nas wkrótce umrze, ale usiłowaliśmy przezwyciężyć strach, przynajmniej na tyle, by nie dostrzegli go tamci. Oprócz tłumionego strachu w naszych sercach zapewne tliła się także isierka nadziei na ocalenie. Przyznaję się, że bardzo pragnąłem wtedy, by nie być tym dziesiątym. Myślę, że nie byłem w tym pragnieniu odosobniony. Niewątpliwie to zarzewie nadziei podtrzymywał w nas ów egoistyczny, wrodzony instynkt, ożywiony w człowieku w obliczu zagrożenia życia. Zakładnicy byli pozbawieni nawet tej nikłej nadziei, ale nie myślałem wówczas o nich.

Oficer czekał w milczeniu na informatorów, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Kiedy po upływie kilku minut nikt nie wystąpił z szeregu, przypomniał, że pozostały tylko trzy i ponownie zaapelował o rozsądek i wskazanie „bandytów”. Począł jeszcze chwilę, po czym dał znak, że czas zaczynać. Jego podwładni podeszli do szeregu i rozpoczęli selekcję. Gdy jeden wymówił liczbę „dziesięć”, dwóch innych wyciągało z rzędu osobę zakwalifikowaną na śmierć przez zwykły przypadek i odprowadzało ją pod mur.

Czekałem z zapartym tchem na rozstrzygnięcie o mym losie. Wreszcie zobaczyłem przed sobą odliczającego draba i zaraz usłyszałem nieszczęsne słowo „dziesięć”. Wymówił je po niemiecku, ale każdy wiedział dobrze tego poranka, co znaczy, nawet jeśli przedtem było dla niego niezrozumiałe. Początkowo pomyślałem, że wypadło ono na mnie, jednak dwaj pomocnicy liczącego złapali za ręce sąsiada i poprowadzili do innych skazańców.

Po dokonanej selekcji Niemcy doprowadzili pod ścianę dużą grupę zakładników, którzy mieli zginąć, ponieważ ostatniej nocy nie obronili mleczarni przed „bandytami”.

Stojące w pobliżu kobiety szlochały z cicha na widok krewnych i przyjaciół. Nawet niektórzy mężczyźni ukradkiem wycierali oczy. Natomiast sami skazańcy nie płakali.

Niemcy z nieznanym nam przyczyn zwlekali z egzekucją, mnie bolały coraz bardziej nogi i ciążyła przygnębiająca cisza, zalegająca nad placem. Jedynie od czasu do czasu zagłuszał ją zgrzyt kamieni pod wojskowym butem. Dopiero po dłuższej chwili, która dla mnie była wiecznością, zbliżył się do kandydatów na rozstrzelanie oficer z tłumaczem, aby odczytać im wyrok śmierci. Już odebrał od niego kartkę, gdy niespodziewanie wjechał z hukiem na plac samochód pancerny, wysiadł z niego jakiś dostojnik w eleganckim mundurze i dwóch jego adiutantów. Dowodzący przygotowaniami do egzekucji, podbiegł do niego, wyprężył się i wrzasnął: „Heill Hitler!”. Potem wysłuchał go, wrócił na poprzednie miejsce i zaczął mówić po niemiecku. Każde jego zdanie było od razu tłumaczone. Nie pamiętam, oczywiście, dokładnej treści tego przemówienia, ale mniej więcej powiedział nam, że w drodze łaski

postanowił darować wszystkim życie i wolność, poza zakładnikami, którzy zostaną zatrzymani do czasu ujęcia „bandytów” i jeśli im w tym pomożemy, to i oni będą zwolnieni. – A zatem ich los spoczywa w naszych rękach. A teraz proszę się rozejść do domów – zakończył swój wywód.

Wstrzymanie egzekucji w ostatniej chwili zaskoczyło nas. Nie wiedzieliśmy, co się naprawdę stało, bo w czystą łaskę pana komendanta nie wierzyliśmy. Rozchodziliśmy się jednak szczęśliwi, zwłaszcza ci spod muru, którzy mieli być rozstrzelani. Im najtrudniej było uwierzyć, że odzyskali wolność po tym wszystkim, co przeżyli, po wytypowaniu ich na rychłą śmierć.

Mieszkańcy Nowego Świata dopiero ode mnie dowiedzieli się o faktycznym przebiegu zdarzeń pod mleczarnią. Przedtem wiedzieli, że Niemcy zgromadzili tam zakładników i mieszkańców z pobliskich domów, ale nic poza tym. Może moje informacje i uwolnienie nas uratowało mnie od większego gniewu rodziców z powodu bezmyślnego i samowolnego udania się w kierunku mleczarni. Skończyło się na krótkiej połajance.

Jeszcze tego samego dnia poznaliśmy przyczynę wstrzymania egzekucji w Rybnej i ograniczenia represji do zatrzymania 39 zakładników. Otóż w ostatniej chwili Niemcy natrafili na ślady uczestników napadu na mleczarnię, którzy pozostawili je na pokrytych rosą łąkach między Rybną a Czułkówkiem, przez który pomaszerowali do sąsiedniego Kaszowa. Tam zatrzymali się w domu Kaszowianina Czekałą, uczestnika tej akcji. Przy posiłku wypili sporo alkoholu zabranego z mleczarni, po czym pokładli się spać. Ktoś uprzedził ich o zbliżających się Niemcach i w ostatniej chwili zdążyli umknąć za Wisłę z wyjątkiem gwardzisty o nazwisku Pomietły Józefa, który widocznie był mniej trzeźwy od kolegów i spał twardszym snem. Obudził się dopiero, gdy Niemcy byli już w zagrodzie. Usiłował uciekać, ale zaraz dosięgła go śmiertelna kula i zmarł na miejscu. Zabójcy znaleźli przy zwłokach butelkę z nie dopitą wódką i kawałek pasa transmisyjnego, zabranego z mleczarni na zelówki. Lepszych dowodów na jego udział w napadzie nie potrzebowali. Oczywiście, chcieli dopaść pozostałych sprawców i dlatego rozpoczęli aresztowania Kaszowian, przesłuchania, tortury, palenie zabudowań i mordowanie niewinnych ludzi, jako że Czekałą był jedynym mieszkańcem tej wioski, uczestniczącym w akcji. W sumie spalili w mej 19 zabudowań i zabili 25 osób. Przedtem wielu torturowali a po zamęczeniu ich na śmierć wrzucali zwłoki do płonących budynków. Do dziś pamiętam wielką jaskrawą lunę nad Kaszowem, którą oglądałem tamtej nocy z kolegami ze wzniesienia naszej wsi.

Był ostatni dzień lipca. Zjadłem z rodzicami obiad i poszedłem na gryby do lasu oddalonego o jakieś dwa kilometry. Nie było ich wiele, zapewne wyzbierano je wcześniej rano. Właśnie wracałem do domu, gdy zobaczyłem w oddali kłęby gęstego dymu, wydobywającego się spośród konarów drzew. Pomyślałem, że może pali się poszycie, gdy jednak zbliżyłem się dostrzegłem ognisko i siedzących wokół mężczyzn z karabinami na plecach. Jednocześnie poczułem zapach wędzonego mięsa. Wtedy zrozumiałem, że byli to partyzanci. Często marzyliśmy z kolegami, by ich spotkać. Teraz zaś nie tylko nie zdecydowałem się pójść do nich, ale zacząłem się pospiesznie oddalać. Na skraju lasu dojrzałem jeszcze dwóch uzbrojonych, młodych ludzi. Prawdopodobnie ubezpieczali kolegów. Nie patrząc w ich stronę, wyszedłem na drogę prowadzącą prosto do domu. W pewnej chwili zobaczyłem innych maszerujących tyralierą od dworu w Sance w kierunku lasu. Byli daleko ode mnie i nie widziałem ich dokładnie, ale domyśliłem się, że są to Niemcy. Serce zabiło mi mocniej i przyspieszyłem kroku, aby nie wpaść w tarapaty sprzed miesiąca. Dochodząc do domu, posłyszałem odgłosy strzałów. Usłyszeli je również moi sąsiedzi i powychodzili z mieszkań. Opowiedziałem im, co widziałem i pozostałem z nimi przy drodze. Po kilku minutach przejechał jeden, a w chwilę później drugi samochód do centrum wsi. Potem widzieliśmy jeszcze dwa. Na szczęście, było w nich tylko kilku Niemców. Przez cały ten czas słyszeliśmy odgłosy strzelaniny, która milkła na krótko, by po jakimś czasie znów się odezwać. Starsi mężczyźni, którzy służyli w wojsku, mówili że strzały pochodziły z broni maszynowej ręcznej. Mniej więcej po godzinie zaczęły wracać samochody. Potem ludzie powracający z „dołu” donieśli nam, że Niemcy przywieźli nimi rannych kolegów do mieszkającego tam lekarza. (Był nim właściciel dworu w Sance, Skapiskach. Krewni nie zaakceptowali jego młodej żony z ubogiej rodziny i zmusili go do przeniesienia się z nią do Rybnej, gdzie mieszkał i przyjmował chorych. Przybrał też jej panięskie nazwisko Pitchard.)

Nazajutrz zaczęły napływać z Sanki wieści o tym, że Niemcom nie udało się ująć ani zniszczyć partyzantów pomimo otoczenia lasu i przeszukania go aż po Chrzanów i Olkusz. Mówiono też, że był to bardzo duży oddział i że zginęło kilkunastu Niemców. Jak się okazało po wojnie – faktycznie zginęło czterech i jedenastu zostało rannych, w tym większość lekko. Oddział gwardzistów liczył jedynie około dwudziestu osób.

Pewnego dnia prowadziłem z pastwiska do domu krowę i zobaczyłem między Nowym Światem a Morgami samochód osobowy i dwóch ludzi z dziwnym urządzeniem na podnóżkach, przypominającym aparat fotograficzny, ale tam nie było nic do fotografowania, tylko droga i pola. Wobec tego, co to może być? – zastanawiałem się. W końcu pomyślałem, że to zapewne geodeci mierzyli drogę i poszedłem dalej. Po chwili znów ujrzałem drugi samochód z trzema mężczyznami w niemieckich mundurach i z podobnym przyrządem. Ci byli bliżej, toteż zauważyłem na uszach jednego ciemne

śluchawki. Ponagliłem krowę i po przypędzeniu jej do stodoły opowiedziałem rodzicom i sąsiadom, co widziałem. Jeden z nich, który w młodości służył w wojsku i zawsze wszystko wiedział, wysunął przypuszczenie, że owe aparaty prawdopodobnie były urządzeniami do wykrywania radiostacji. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że faktycznie Niemcy lokalizowali radiostację, przez którą ktoś przekazywał informacje gdzieś w naszej okolicy. Dotarli na Morgi i wypytywali mieszkańców o radiostację, a w dwóch domach przeprowadzili rewizję, ale jej nie znaleźli. Jeden dom należał do Ignacego Targowskiego, który już po wojnie opowiedział mi zadziwiającą historię, związaną z tym wydarzeniem. Okazało się bowiem, że Olga pracowała tamtego dnia na radiostacji na strychu jego domu i że ledwo zdążyła się ukryć z nią w dobrze zamaskowanej tam kryjówce. Jej nie znaleźli, natomiast tłumacz, który przeglądał dokumenty i inne papiery wyrzucane przez jego współtowarzysza z szuflad na stół, w pewnym momencie wziął do ręki, na oczach gospodarza, kartkę z zaszyfrowanym meldunkiem. Spojrzał na nią i dyskretnie schował do kieszeni. Potem przejrzał resztę zawartości szuflad, odwrócił się tyłem do stołu, zapalił papierosa, położył papierośnicę na stole i wyszedł z mieszkania wraz z innymi rewidentami. Zanim Targowski zdążył ochłonąć ze strachu i zdziwienia, tłumacz wrócił do pokoju zdenerwowany, przeszył go piorunującym wzrokiem, wyjął z kieszeni nieszczęsną notatkę, podsunął mu ją pod nos i zaczął krzyczeć po polsku, jak można coś takiego trzymać w szufladzie, że jeśli następnym razem coś podobnego znajdzie, postąpi tak, jak nakazuje mu obowiązek. Potem zabrał ze stołu papierośnicę i wybiegł na zewnątrz. Targowski nigdy już się nie dowiedział, dlaczego uratował mu i rodzinie wolność, a może nawet życie, bo jeśli nawet nie był Niemcem, to i tak pracował z nimi i dla nich.

Okres niewolniczej pracy przy budowie niemieckich systemów obronnych

Sołtys w Rybnej dostał polecenie dostarczenia nowego kontyngentu mężczyzn do robót przy umocnieniach obronnych na wschodzie Polski. Jak zwykle i tym razem nakazy wyjazdu wręczono małorolnym. Był wśród nich również mój ojciec. Na kilka dni przed wyjazdem przyszedł do niego mieszkaniec Rybnej, J. Strojek. Rozmawiali sam na sam. Potem ojciec powiedział mi w tajemnicy, że rozmówca zaproponował mu przyjęcie do oddziału partyzanckiego AL. Ojciec miał ochotę na ucieczkę do niego w góry, ale mama bała się, że Niemcy mogą za karę aresztować ją i mnie. Odrzucił więc propozycję Strojka, złożoną w imieniu organizacji PPR, do której należał, i wyjechał na przymusowe roboty nad San, w okolice Niska. Nad tą rzeką ścinali wiklinę i wyplatali z niej maty, którymi po wyschnięciu wykładali rowy strzeleckie. Mieszkali w barakach i pracowali cały tydzień z wyjątkiem niedziel. Na jedną z nich wybrałem się z grupą żon innych pracowników z naszej wsi w odwiedziny. Zabraliśmy też trochę żywności, ponieważ nie żywili ich najlepiej, jak wynikało z listów.

Jechaliśmy nocnym pociągiem osobowym, ale od Rzeszowa zaczęło już świtać, bo noce w tym okresie były krótkie. Właśnie wtedy, nie pamiętam przed jaką stacją, pociąg zatrzymał się w lesie i usłyszeliśmy odgłosy strzelaniny, które po pewnym czasie ucichły. Ale dotarła do nas wiadomość, że pasażer stojący w drzwiach sąsiedniego wagonu został postrzelony w kolano i że to partyzanci zatrzymali pociąg i ostrzelali wagon, w którym jechali żołnierze niemieccy. Istotnie, w tamtym czasie w okolicach Niska było bardzo niebezpiecznie. 17 czerwca tamtego roku oddział B.Ch. stoczył w tym mieście bitwę z niemiecką żandarmerią i ukraińską policją, po czym wycofał się do lasu. Działy też w okolicy oddziały AL.

Gdy dojechalśmy na najbliższą stację, Niemcy zatrzymali pociąg na dłuższy czas, nie pozwolili z niego nikomu wyjść i rozpoczęli drobiazgową rewizję pasażerów i bagaży. Kontrolowali wagon po wagonie. Część osób wyciągali na zewnątrz i doprowadzali ich do stojących w pobliżu ciężarówek. My znajdowaliśmy się w jednym z końcowych wagonów i ze strachem czekaliśmy na wejście do niego „kontrolerów”. Podobnie jak w pozostałych i w naszym przedziale było ciasno i duszno. Większość pasażerów jechała na stojąco. Wzdłuż całego pociągu stali uzbrojeni policjanci i nie było mowy o ewentualnej ucieczce. Gdy Niemcy rozpoczęli rewizję w sąsiednim wagonie, w naszym przedziale, w którym przeważały kobiety, strach przerodził się w przerażenie. Niektóre głośno płakały, inne odmawiały na głos modlitwy. Mnie też ogarnął strach podobny do tego, jaki przeżyłem przed rokiem pod mleczarnią. Ale tam przynajmniej byłem w swojej wsi, wśród znanych mi ludzi, podczas gdy pociąg stał na nieznanym mi terenie, a w przedziale przeważali obcy ludzie. Nie pamiętam, jak długo trwał postój, ale dla mnie była to cała wieczność. Wreszcie Niemcy wyszli z sąsiedniego wagonu i wówczas, gdy byliśmy już pewni, że lada moment zobaczymy ich w naszym, usłyszeliśmy gwizd kolejarza i zaraz potem charakterystyczny stukot kół pociągu. Oznaczało to, że ruszyliśmy w dalszą podróż. I tak po raz drugi uniknąłem grożącego mi niebezpieczeństwa w ostatniej chwili.

Od stacji do baraków był jeszcze szmat drogi. Musieliśmy go pokonać pieszo. Jednak na widok naszych bliskich zapomnieliśmy o zmęczeniu i przeżyciach w ostrzelanym pociągu. W baraku, przy łóżku ojca okazało się, że w zatłoczonym przedziale oblażył mnie wszy. Zamiast pójść na spacer musieliśmy czyścić moją odzież, choć na dobre pozbyłem się ich dopiero po powrocie do domu.

Po odwszeniu i krótkiej drzemce poszliśmy nad rzekę. Zobaczyłem po drodze liczne rowy i bunkry oraz zasieki z drutu kolczastego, a także stopy suszących się mat. Pod wieczór ojciec i inni robotnicy, którzy też tam przyszli ze swymi gośćmi, przynieśli kilka suchych wykładzin i rozpalili nimi ognisko. Zapytałem zdziwiony, jak na to zareagują Niemcy, wówczas ojciec powiedział mi, że od kilku dni robią to za przyzwoleniem nadzorującego ich oficera, który osobiście to zainicjował. Na początku oni sami protestowali, jako że sporo się przy nich napracowali. Oficer machnął jednak z rezygnacją ręką i usiłował im tłumaczyć mieszaniną niemieckiego z polskim, że maty, rowy i zasieki i tak na nic, bo Niemcy już „kaput” i lada dzień zajmą je Rosjanie. Palenie wykładzin bynajmniej mu jednak nie przeszkodziło w poprowadzeniu ich następnego dnia do wyplatania nowych. Ojciec przyznał, że i do nich docierały wieści o zbliżającym się froncie, a oni sami coraz częściej widzieli przelatujące górą samoloty z gwiazdami na skrzydłach i słyszeli odgłosy wystrzałów artylerii przeciwlotniczej.

Po powrocie do wsi opowiedzieliśmy rodzinom i sąsiadom o zbliżających się do naszej granicy wojskach radzieckich. Zresztą oni już o tym wiedzieli z nasłuchów radiowych. Owe dobre nowiny wkrótce potwierdził powrót Rybnian znad Sanu, w tym mojego ojca, a system obronny niedługo potem zajęły – zgodnie z zapowiedzią niemieckiego oficera – oddziały radzieckie. Na przełomie lipca i sierpnia osiągnęły linię środkowej Wisły.

Tymczasem okupant skorzystał z powstrzymania ofensywy swego przeciwnika i zaczął przyspieszać prace nad umocnieniami obronnymi na ziemi krakowskiej. W Rybnej również kopaliśmy głębokie i szerokie rowy przeciwczołgowe. Jeden przechodził tuż pod oknami naszego domu, wzdłuż działki sąsiada i dalej w poprzek drogi biegnącej przez wieś z północy na południe, aż do szosy krakowskiej.

Każda rodzina musiała odpracować z góry wyznaczoną liczbę dni przy kopaniu rowów w zależności od liczebności dorosłych. Ja też pracowałem na zmianę z ojcem. Przerzucanie ziemi wymagało większego wysiłku niż ścinanie trzciny i wyplatanie mat. Ale tata mógł to robić teraz na miejscu, wieczory i noce spędzać w domu. Ja po pewnym czasie zgłosiłem się ochotniczo do rąbania drewna przy kuchni polowej, gdzie miejscowy, tęgi kucharz, zatrudniony przez organizację Todta, gotował codziennie w trzech dużych kotłach zupę dla pracujących przy rowach. Korzystała z niej także dwudziestokilkuosobowa jednostka młodych własowców, którą latem tamtego roku Niemcy obsadzili nowo utworzony posterunek na skrzyżowaniu krakowskiej szosy z drogą łączącą Rybne z Przeginią Duchowną, nazywanym przez nas Rogatką. Stał się on postrachem okolicznej ludności. Przez całą dobę stali przed nim wartownicy. Nocą zatrzymywali przechodniów i przejezdnych, podejrzanych zabierali na posterunek na przesłuchania. Sprowadzali z całej okolicy domniemych członków konspiracyjnych organizacji i niektórych, po przesłuchaniu, rozstrzeliwali. W pobliskim lesie z każdym tygodniem przybywało świeżych mogił. Miejscowi unikali tego miejsca nawet za dnia. Tych strasznych chłopców o myślącym, niewinnym wyglądzie poznałem przy rąbaniu drewna. Przyjeżdżali codziennie w trójkę na furmance z dużym pojemnikiem. Napelniał im go wspomniany przeze mnie kucharz. Zwykle wyklócali się z nim o gęstsza zupę, z większą ilością mięsa, ale nasz grubas był nieustępliwy, traktował ich z góry, jakby byli jego podwładnymi i jak gdyby nigdy nie słyszał o ich okrucieństwie, z reguły nie spełniał ich życzeń, krzyczał na nich, obrzucał epitetami, a nawet wygrażał im dużą, drewnianą łyżką. Ku mojemu zdziwieniu tamci przyjmowali jego zachowanie ze stoickim spokojem, choć musieli rozumieć, że nie prawili im komplementów, nawet jeśli nie znali polskiego języka, zwłaszcza że jest on podobny do ukraińskiego i rosyjskiego. Nie rozumiałem, jak ci sami chłopcy tam u siebie mogli być tak okrutni, a tutaj wobec polskiego aroganta zachowywać się niczym niewinne baranki. Wprawdzie on też pracował dla niemieckiego pana, ale jego kompetencje ograniczały się do warzenia strawy, podczas gdy oni decydowali o ludzkim życiu. Już zacząłem myśleć, że przypisywanie im tak niehumanitarnego stosunku do Polaków było nieprawdą, gdy pewnego dnia dowiedziałem się o aresztowaniu przez nich i zamordowaniu dwudziestokilkuletniego mieszkańca Rybnej, Mieczysława Śreniawskiego, za przynależność do AL. Był to energiczny, przystojny młodzieniec ze średnim bodajże wykształceniem, bo przed wojną chodził do szkoły w Krakowie. Po wybuchu wojny przybył do Rybnej i zamieszkał z babcią. Znał niemiecki i sołtys zatrudniał go czasem jako tłumacza. Lubił się bawić na wiejskich weselach, na których często dochodziło do bójek. On chyba też od nich nie stronił, bo raz został mocno pobity, o czym było bardzo głośno we wsi. Zapewne niewielu go podejrzewało o konspiracyjne zaangażowanie, ale donosiciel musiał o nim wiedzieć.

Zabrali go w ciągu dnia tacy sami, a może nawet ci sami własowcy, których widywałem podczas pobierania zupy. W ostatniej chwili wyskoczył z pokoju oknem, niestety dom był otoczony i nie miał żadnych szans na ucieczkę. Związali mu ręce z tyłu powrozem zabranym u sołtysa i, trzymając jego końce, poprowadzili na Rogatkę. Po drodze wstąpili do dworku pani Jednowskiej. W pokoju zdjęli mu pętlę z rąk, aranżując brzydki podstęp. Otóż postawili go twarzą do ściany, na której wisiało lustro, sami usiedli przy stole. Położyli na nim czapki i pas z pistoletem w kaburze. Gdy to zobaczył w lustrze, odwrócił się nagle, wyciągnął z futerału broń i wymierzył ją w najbliższego własowca. Niestety, nie była nabita. Widocznie wtedy przypieczętował na siebie wyrok. Tamci rzucili się bowiem na niego, ponownie skrępowali powrozem i wyprowadzili na zewnątrz. Po wyjściu z parku dworskiego na drogę

podprowadzili go do kolejowych zwalów kamieni usypanych wzdłuż niej i powalili twarzą na nie, potem bili i zmuszali do powstania, by powtórzyć to samo na następnym zwale. Przez cały czas miał związane ręce z tyłu i pętle na nogach powyżej kostek. Gdy był już na wpół żywy, zaprowadzili go na przydrożne mokradło i biciem zmusili do wykopania sobie grobu. Łopatę zabrali z dworu, co dowodziło, że już tam zaplanowali mord. Podobno zakopali go, zanim całkowicie zgasło w nim życie. Tak przynajmniej twierdzili ałowcy, którzy skrycie i z bezpiecznej odległości śledzili ich po wyjściu z parku. Podobno myśleli o odbiciu kolegi, ale nie zdecydowali się na podjęcie takiej próby, bo po obu stronach drogi, którą go prowadzili, było puste pole, a zabudowania dopiero znacznie dalej, nie miałoby więc żadnej osłony w podejściu do oprawców. Poza tym było ich tylko trzech, a tamtych drugie tyle. W tej sytuacji mogli jedynie śledzić przez lornetki jego mękę.

Po tym makabrycznym wydarzeniu przestałem chodzić do pracy przy kuchni. Wolałem kopać rowy, byle pozostawać jak najdalej od chłopców z Rogatki.

Do aresztowań, przymusowej pracy, obowiązkowych dostaw produktów rolnych i innych stałych zagrożeń i uciążliwości jesienią ostatniego roku okupacji doszły dla części mieszkańców naszej wsi dodatkowe kłopoty. Jak wiadomo, upadło Powstanie Warszawskie i Niemcy przystąpili do rozbijania powstańców, zamykania w obozach, wysiedlania ludności cywilnej i burzenia miasta. Część wysiedleńców skierowali do Rybnej. Byli nimi na ogół starsi ludzie, głównie kobiety i trochę dzieci. Sołtys zakwaterował ich w bogatszych domach, chociaż takich było niewiele, a nawet i w nich nie było zwykle więcej niż po dwie izby mieszkalne. Toteż niektórzy musieli adaptować prowizoryczne komórki, w których zwykle przechowywali żywność, której teraz potrzebowali więcej, by wyżywić także gości z Warszawy. Traktowali ich dobrze i współczuli im, ale byli i tacy, którzy twierdzili, że sami sobie winni niedoli, jaka ich spotkała, gdyż nie powinni byli wywoływać powstania z góry skazanego na klęskę. Przesiedleńcy odpowiadali, że mogło zwyciężyć, gdyby Rosjanie nie wstrzymali natarcia. Niektórzy gospodarze dziwili się też, że warszawiacy zamierzali wrócić do stolicy po wojnie, mimo że wiedzieli już o jej zniszczeniu, gdy zaś starsze panie odpowiedziały im, że odbudują ją własnymi rękami, patrzyli na nie z uśmiechem na ustach i z politowaniem. Czasem przysłuchiwałem się tym rozmowom, w domu kolegi, którego odwiedzałem, mieszkały dwie takie panie, chyba już po sześćdziesiątce. Nie wtrącałem się jednak, nie miałem własnego poglądu na te sprawy.

Nastał dzień osiemnasty stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Ostatni Niemcy wyjechali z samego rana, ale chyba niedaleko, bo jeszcze przed południem przyjechał samochodem na Nowy Świat oficer z kierowcą i tłumaczem po cywilnemu. Poleciał mu sprowadzić na prowizoryczny most na wykopanym przez drogę rowie mężczyzn z czterech najbliższych domów. Dotyczyło to między innymi mojego ojca, ponieważ jeden z budynków należał do nas. Gdy wszyscy przyszli, oficer oznajmił im, że jest wojskowym inżynierem i że ma rozkaz wysadzenia mostu dynamitem. Wolałby wszakże tego nie robić, bo wybuch może uszkodzić nasze zabudowania i zaproponował jego demontaż. Nasi przyjęli propozycje i przystąpili do rozbiórki wspólnie z innymi mężczyznami, których pospiesznie przywołali do pomocy. Praca ta zajęła im sporo czasu z braku odpowiednich narzędzi. Niemiec zaczął się niecierpliwić, coraz częściej spoglądał na zegarek, jakby żałował swej decyzji, ale czekał, dopóki nie skończą. Potem wszyscy trzej wsiadli do samochodu i odjechali w pośpiechu.

Nie upłynęła nawet godzina od odjazdu Niemców, gdy znów nad rowem stanęły dwa czołgi. Wybiegliśmy z domów i zobaczyliśmy w nich Rosjan. Widziałem ich po raz pierwszy, ale nie miałem wątpliwości, że to oni. Siedział z nimi syn Stanisława Malika, Henryk i dwóch innych chłopaków z Rybnej z bronią na kolanach i biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Na drugim czołgu dostrzeżliśmy Niemca w średnim wieku o zarośniętej twarzy. Był w mundurze, ale bez broni i pasa. Ałowcy wyjaśnili nam, że był to jeńiec, którego wzięli do niewoli po stoczonym bitwie nad Wisłą za Czernichowem i potem przekazali czołgistom. Był to ostatni Niemiec, jakiego widziałem w tych ponurych latach okupacji. Patrząc na niego przypominałem sobie tego pierwszego sprzed czterech i pół roku, który nas zawrócił z niefortunnej ucieczki i od razu uzmysłowiłem sobie różnicę między nimi. Twarz tamtego wyrażała butę i radość z odnoszonego zwycięstwa. Natomiast tego – smutek i rezygnację.

Na wieść o przybyciu Rosjan, która się rozeszła lotem błyskawicy, niebawem zgromadził się wokół nich prawdziwy tłum, każdy chciał przyjrzeć się im z bliska. Ich przyjazd trochę nas zaskoczył. Wprawdzie już od kilku dni słyszeliśmy, że są niedaleko, ale nie przypuszczaliśmy, że aż tak blisko. Nie było wszakże czasu na oglądanie czołgistów i ich pojazdów. Trzeba było z powrotem na rowie położyć kłody, które dopiero co z takim trudem stamtąd usunęliśmy, aby umożliwić im przejazd na drugą stronę. Mimo zmęczenia przystąpiliśmy ochoczo do pracy. Pomagali nam teraz mężczyźni z dalszych domów, ale i tak wszyscy mieliśmy co robić.

Gdy my dźwigaliśmy ciężkie kloce, jeńiec siedział sobie wygodnie na czołgu. Ktoś wreszcie zwrócił na to uwagę i wtedy nakłoniliśmy radzieckiego dowódcę, aby dołączył go do nas. Pracując już razem któryś z naszych zapytał go ironicznie, jak się czuje w nowej roli. Inni też zaczęli z niego szydzić, a w ich drwiącym głosie można było wyczuć mieszaninę nienawiści i goryczy, lecz także satysfakcji ze zwycięstwa nad znieprawionym wrogiem. Napastowany znosił obelgi z pokorą i pozornym spokojem

– na pewno rozumiał ich sens, pomimo nieznamości polskiego. W pewnym momencie owe kąśliwe docinki przerwała nasza sąsiadka, karcąc głośno kpiarzy za znęcanie się nad bezbronnym jeńcem. Ci popatrzyli na nią zaskoczeni, ale przestali mu dokuczać. Po chwili inna kobieta przyniosła Niemcowi kawał chleba. Ten podziękował jej z cicha po niemiecku i schował go do kieszeni bluzy, bo widocznie nie miał odwagi przerwać pracy, by go od razu zjeść. Skarzeni przed chwilą mężczyźni znów spojrzeli na darczyńcę ze zdziwieniem, ale nie odważyli się zaprotestować. Potem nikt już nie zwracał na niego uwagi.

Obiektem naszych zainteresowań, poza czołgistami i Niemcem, byli także alowcy. Podejrzewaliśmy, że nie wszystkich aresztowano. Nie wiem, co myśleli wtedy inni, ale ja zazdrościłem im w duchu i żalowałem, że nie byłem jednym z nich, jakkolwiek było to przecież niemożliwe z uwagi na mój wiek.

Po odjeździe czołgów w kierunku Krzeszowic przez całą następną dobę nie było we wsi ani Niemców, ani Rosjan. Kolejnych radzieckich żołnierzy zobaczyliśmy dopiero nazajutrz, kiedy po zajęciu Krakowa ruszyli dalej na zachód. Dla nas wszakże dniem wyzwolenia był osiemnasty stycznia, chociaż nieco zakłóconym przykrą wiadomością, że czołgiści, którzy przybyli do nas pierwsi, jeszcze tego samego dnia polegli w walce z niemieckim oddziałem koło Tenczynka. A więc dzień ten przyniósł nam wolność, a im śmierć.